

Pracownik nasz pan

12 grudnia 2015

Eksperci przewidują, że w najbliższej przyszłości wzmocni się pozycja pracowników. Era taniej siły roboczej dobiega końca. Czy kapitalizm i polityka dostosują się do nowej rzeczywistości?

W świecie niepewności, rosnącego globalnego rozwarstwienia i coraz większej prekaryzacji na rynku pracy najnowsza publikacja cenionych ekspertów we wpływowym „The Economist” wieszczą koniec ery taniej siły roboczej brzmi jak science fiction. Albo jak myślenie życzeniowe lewicujących myślicieli. Jednak ekonomistom Morgan Stanley – jednego z największych banków inwestycyjnych na świecie, którzy zaprezentowali nowe spojrzenie na układ sił pomiędzy pracodawcami, a pracownikami, daleko do socjaldemokratycznych ideałów. Grupa finansistów pod baczным okiem Charles’a Goodharta byłego członka monetarnej komisji Banku Anglii ucieka od ideologii oraz polityki i skupia się na faktach. A dokładniej na tendencjach demograficznych, które według nich determinują przyszłą pozycję pracowników na rynku. Konkluzje są stosunkowo proste. W ostatnich trzydziestu latach olbrzymie zyski biznesu, a także nierównowaga na linii między pracodawcami, a pracownikami były możliwe dzięki demograficznej eksplozji, masie pracowników z biednego Południa i dopuszczenia milionów kobiet na rynek pracy. Siła robocza była tania, nie tylko ze względu na brak międzynarodowych regulacji trzymających w ryzach globalny kapitał, neoliberalne paradygmaty i kapitulacje polityków wobec rynków oraz biznesu, ale głównie z powodu ogromnej masy zdesperowanych ludzi gotowych wykonywać jakąkolwiek pracę za najniższe wynagrodzenie. Teraz według prognoz ekonomistów Morgan Stanley postępująca urbanizacja biednego Południa wraz z globalnym spadkiem urodzeń spowoduje niedobór siły roboczej zwiększając możliwości przetargowe pracowników oraz płace. Mimo postępu technologicznego i

innowacyjności nierównowaga między kapitałem, a pracą zostanie zrównoważona. Jednak żeby faktycznie tak się stało potrzebna jest zmiana sposobu myślenia nie tylko u polityków i biznesmenów, ale również wśród pracowników oraz samych konsumentów. A to będzie trudne.

PRL W KORPORACJACH

Wydaje się, że model gospodarczy dominujący w ostatnich trzech dekadach doszedł już do ściany i niebawem zostanie zastąpiony. Jednak mimo kryzysu z 2008 roku, który obnażył wszystkie jego wady i panującej zgody wśród większości ekspertów co do destrukcyjnej siły maksymalnie zderegulowanej gospodarki rynkowej stare paradygmaty wciąż jeszcze dominują. A wolnorynkowe recepty, chociaż dziś już wiadomo, że nieskuteczne i szkodliwe, dalej funkcjonują w publicznej debacie i w retoryce polityków. Tak jest chociażby ze stwierdzeniem, że bezpieczeństwo socjalne i stabilność zatrudnienia negatywnie odbijają się na produktywności i są zaporą dla innowacyjnych rozwiązań. To myślenie doprowadziło do uelastycznienia rynku pracy i maksymalnie ułatwiło biznesowi zwalnianie i zatrudnianie nowych ludzi, zaś pracownikom utrudniło negocjacje płacowe i uniemożliwiło poczucie stabilizacji życiowej. Umowy śmieciowe w Polsce czy umowy „zero hours” w Wielkiej Brytanii stały się symbolem tej kultury na rynku pracy. Wynaturzenie idei elastyczności zatrudnienia poszło jeszcze dalej. Związki zawodowe cyklicznie donoszą, że w wielu przedsiębiorstwach pracownicy nie mają żadnych umów, zatrudniani są tymczasowo, na pół lub ćwierć etatu, a czasem na zaledwie cztery godziny w tygodniu. W rezultacie wytworzyła się nowa klasa społeczna – prekariat w niektórych krajach stanowiąca już prawie 25 proc. wszystkich pracowników. To ludzie, którzy są zatrudniani na formalne, bądź nieformalne umowy czasowe albo poprzez agencje pracy tymczasowej. Prekariat zarabia coraz mniej i traci emerytury, urlopy, prawo do leczenia. W efekcie tworzy się klasa społeczna, której poczucie życiowej niepewności wytwarza

zarówno potężne fale różnie kanalizowanego antysystemowego buntu jak i destrukcyjnie wpływa na jakość wykonywanej pracy. Ekonomiści z niemieckiego Uniwersytetu w Delft w opublikowanym niedawno raporcie naukowo nazywają to, co większość z nas może zaobserwować – elastyczny rynek pracy wymaga od przedsiębiorców potężnej maszyny biurokratycznej żeby nad ciągle zmieniającymi się pracownikami jako tako zapanować. Niestabilność, rotacja pracownicza, brak zaufania, lojalności i zaangażowania wśród pracowników wymusza na pracodawcach więcej kontroli i ciągłych inwestycji w zarządzanie. Autorzy raportu – Alfred Kleinknecht, Zenlin Kwee oraz Lilyana Budyanto konkludują, że uelastycznienie rynku pracy i łatwość zwalniania obywa się „kosztem produktywności, gromadzenia i wymiany wiedzy, a co za tym idzie hamuje innowacyjność i wydajność”. Upraszczając można powiedzieć, że współczesny kapitalizm cierpi na tą samą bolączkę, co schyłkowy socjalizm – „oni udają, że płacą, my udajemy, że pracujemy”.

STRACH PRZED PREKARIATEM

Wnioski są oczywiste – jeśli kapitaliści chcą bardziej wydajnych, lojalnych i zadowolonych pracowników muszą zacząć więcej płacić. A jeśli nie chcą politycy muszą ich do tego zmusić. Bo prekariat stanowi coraz większe zagrożenie dla systemu. Prof. Guy Standing brytyjski socjolog i ekonomista, wykładowca na Uniwersytecie Londyńskim w swojej głośnej książce „Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa” przekonuje, że prekariusze kwestionują stare państwa w całości. I prawdopodobnie je zniszczą. Chcą nowej polityki, nowych instytucji, nowych struktur i zasad. A, że składają się z różnych, odrębnych grup, te nowe zasady i nowe instytucje mogą mieć zupełnie odmienne odcienie. Jeśli bowiem do politycznego głosu dojdzie prekariat wywodzący się z dawnej klasy robotniczej, (których Standing niezbyt ładnie nazywa „przegranymi”) – grupy ludzi nie najlepiej wykształconej czyli łatwo ulegającej demagogom, populistom, neofaszystom, którzy grają na jej lękach i wmawiają, że cierpienie tych ludzi to

wina obcych czeka nas skrajnie prawicowa rzeczywistość. Łącznie z podważeniem całego porządku liberalno-demokratycznego – polityków, mediów, sądów, ruchów obywatelskich. Bo nienawiść do obcych (czyli drugiej grupy prekariuszy) budzi wrogość wobec demokratycznego porządku, który ich toleruje i broni. Takie procesy można zauważyć we wschodniej Europie. Z Węgrami oraz Polską na czele gdzie zarówno Victor Orban jak i Jarosław Kaczyński szykują prawicową rewolucję resetującą zasady liberalnej demokracji. Na południu Europy polityczną przewagę uzyskał skrajnie odmienny odłam prekariatu, który wroga widzi w strukturze społeczeństwa kapitalistycznego. A także zamiast głosować na konkretne polityczne oferty buduje własne partie. Prekariat we Włoszech, Hiszpanii i Grecji z klasy w sobie staje się klasą dla siebie. Świadomą swojej specyfiki i budującą swoją reprezentację. W Wielkiej Brytanii odpryskiem tej społecznej frustracji jest polityczny sukces zarówno Szkockiej Partii Narodowej jak i Jeremiego Corbyna. Brytyjska energia prekariatu zaczęła szukać formy, żeby się wyrazić i znalazła SNP oraz marginalizowanego przez lata działacza skrajnie lewicowego skrzydła Labour. Jednak skruszenie zabetonowanego porządku będzie trudne. Polityczne, medialne i biznesowe elity jak zawsze nie nadążają za społecznymi zmianami. I ekonomicznymi zagrożeniami. Na Wyspach mimo, że niemal wszyscy politycy zarówno z prawej i lewej strony mówią, że wynagrodzenia powinny znacząco wzrosnąć, to jednak wciąż panuje tu korporacyjna kultura i wolna amerykanka na rynku pracy. Tymczasem żeby zwalczyć prekaryzację i zminimalizować skutki politycznego oraz gospodarczego szoku w momencie kiedy spełnią się przewidywania Morgan Stanley zmienić się musi struktura – system dzielący bogactwo i przywileje. I lepiej żeby ta zmiana dokonywała się na drodze ewolucji, a nie rewolucji.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: Cooltura.co.uk